

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

16

I.

Donna Klara uśmiechała się wdzięcznie do młodego człowieka. Podczas całej tej rozmowy już od pierwszej chwili zwrócił on jej uwagę, uśmiechała się też ciągle do niego, darząc go kokieteryjnym spojrzeniem wymownych oczu. Kiedy powóz już ruszał, piękna hrabina uściśnęła silnie rękę Roberta, a potem, kiedy obydwoj oddalili się cokolwiek, kilkakrotnie odwróciła się, przesyłając mu raz jeszcze zalotny błysk oczu i uśmiech.

— Kto jest ta kobieta? — zapytał Alimena trochę zaciekawiony.

— Dama z towarzystwa... lub też coś podobnego.

— Awanturница?

— Trochę.

— Czy bywa przyjmowana?

— Nie wszędzie.

— Czy jest zamężna? — badał dalej Robert.

— Mąż jej nie żyje już.

— Czy ten hrabia Loredana istniał kiedykolwiek?

— Tak. To szlachta wenecka, zrujnowana trochę.

— Czy to twoja kochanka, Ranieri?

— Nie! Flirt lekki, ale już przerwany.

— Dlaczego?

— Ona jest zazdrosna!

— Ona! — zdziwił się Robert.

— Tamta Rachel!

— Ah! Ranieri jest wzorowym człowiekiem.

— Jestem tylko człowiek zakochany — odparł Lambertini. Ale ta straszna namiętność, która mnie i ją pochłania, doradza nam być ostrożnymi.

— Więc to rzecz aż tak poważna? Zdaje mi się jednak, że nie pochłania cię znowu tak bardzo. Widuję cię wesołym, rozbowionym.

— Niema czemu się dziwić! Jestem kochany przez najpiękniejszą dziewczynę pod słońcem.

— Cóż z tego! Kiedy się połączyć z nią nie możesz!

— Oh! Ona musi być moja! — zawołał Ranieri namiętnie.

— Tak! wierzę ci, dla człowieka kochającego prawdziwe przeszkody, istnieć nie mogą!

— Tembardziej, że ucieknijemy się do ostatecznego środka.

— Jakiego?

— Ucieknijemy razem.

— A dlaczego dojad nie uczynicie tego?

— Ona nie chciała. Za dobra jest i uczciwa. Musimy jednak na tem skończyć. Niebezpieczeństwa, jakie nas otaczają, są zanadto wielkie.

— Niebezpieczeństwa? — zapytał z ciekawością Robert, który od pewnego czasu zaczął się żywo interesować wszelkimi dramatycznymi przeżyciami.

— Tak, a nie mógłbym ci nawet powiedzieć jakie. Ale odkąd kocham Rachelę, jestem śledzony, szpiegowany, kilka razy napastowano mnie na ulicy, otaczają mnie ciągle jacyś żebracy, włóczęgi, posługacze...

— Czy ty to mówisz poważnie Ranieri — wyszeptał Robert, uderzony tym dziwnym zbiegiem okoliczności.

— Najzupełniej; cudownym sposobem uniknąłem kilka razy nieszczęścia, raz kości dorożkarski, którym jechałem, poniósł i o mało nie zostałem zabity.

I przypuszczasz, że było to dziełem twoich ukrytych prześladowców?

— Zapewne.

— Może ojciec jej, rodzina.

— Być może, ale wyczuwam, że poza nimi jest jeszcze ktoś inny, ukryty w cieniu, ktoś po-

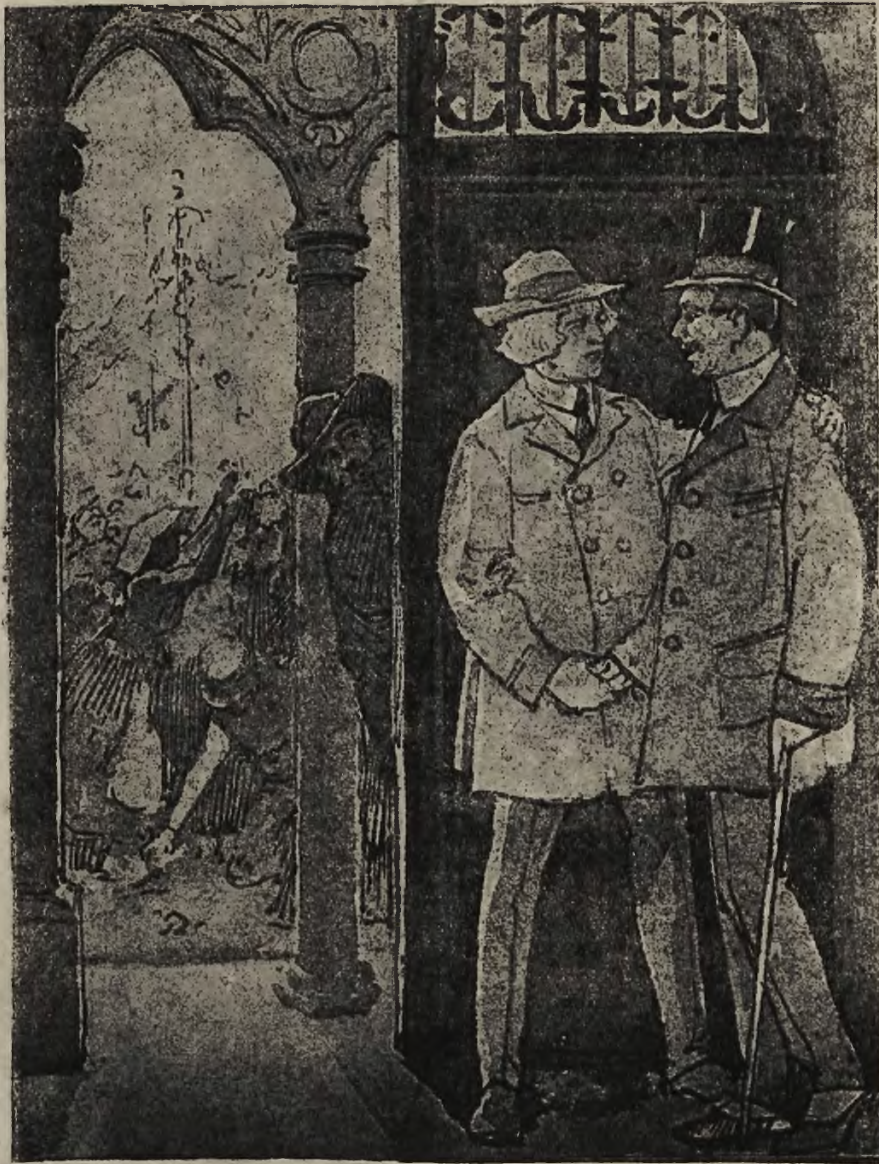
teżny i wpływowy, który zaprzysiągł zgładzić mnie ze świata, odkąd kocham Rachelę.

— I ty tak spokojnie mówisz o tem Ranieri?

— Cóż chcesz? Na razie jestem silniejszy od „niego”, od tego ukrytego mojego wroga, skoro dojad nie zdołał mi jeszcze uczynić nic złego, a Rachelę jest mi wierna i kocha coraz silniej.

— Lecz zachowujesz się ostrożnie, nieprawdaż? Takich rzeczy lekceważyć nie można.

— Oczywiście — odparł spokojnie Ranieri. W tej samej chwili, w której wymawiał te słowa, jak gdyby na potwierdzenie ich, ogromna panika zapanowała w tłumie, otaczającym obydwóch przyjaciół. Rozległ się strzał silniejszy, po którym wybuchły trwożliwe okrzyki. Publiczność zaniepokojona strzałem zaczęła uciekać w popłochu, roztrząsając się wzajemnie. Kula z szelestem przebiegła tuż koło głowy Lambertini'ego i skaleczyła konia o kilkanaście kroków dalej. Popchnięci przez tłum Robert i Ranieri dostali się na wolniejsze miejsce, na Plac Wenecki, gdzie przystanęli, patrząc na siebie z osł-



— Nie tak daleko znowu! zabrzmiał nagle koło nich ostry, ironiczny głos.

pieniem. W tłumie rozchodzili się różne poglądy. Jedni utrzymywali, że strzał padł z balkonu „Hotelu Stołecznego”, drudzy twierdzili, że z powozu, w którym siedziało kilka kobiet. Inni jeszcze mówili, że sprawcą zamachu był jakiś nieznaną człowiek, który natychmiast po wypadku znikł z przed oczu wszystkich. Robert i Ranieri w milczeniu doszli aż do pałacu Torlonia, gdzie zatrzymali się w głębokiej, szerokiej bramie.

— Czy nie mówiłem ci? — zaczął swobodnie Lambertini, patrząc z uśmiechem na przyjaciela. — Nieprzyjaciół mój czuwa dobrze nademną.

— Masz słusność, ale na Boga, kóż to być może? — zawołał Robert silnie poruszony.

— Niewiem.

— Rachelę twoją nie wspominała ci nigdy o jakim rywalu?

— Nigdy. Być może jednak, że ukrywała to powodowana ostrożnością.

— Czy wierzysz w to, iż masz rywala?

— Wierzę. Musi to być człowiek zły i niebezpieczny, istota dziwaczna jakaś, zdolna do każdej podłości — odparł Lambertini z pewnym podnieceniem w głosie.

— A więc ty także — szepnął Alimena, zamysłując się głęboko.

— Jakto, ja także! Co chcesz powiedzieć?

— Mówię, że ktoś więcej jeszcze znajduje się w analogicznym położeniu i ma do czynienia z podobnymi istotami — odparł wymijająco Robert, bo nie chciał się zdradzić przed przyjacielem z osobistymi sprawami.

— Być może! Co do mnie jestem pewnym, że mam do czynienia z nędznikiem niebezpiecznym.

— Dlaczego nie starasz się wykryć go?

— Rachelę nic mi o nim powiedzieć nie chce, bo może lęka się jeszcze czegoś gorszego.

— A kiedy zamierzacie uciekać?

— Jaknajprędzej. Zwierzam ci się z tym zamiarem, jako najlepszemu przyjacielowi Robertcie i wiem, że mnie lekkomyślnie nie zdradzisz. Możesz liczyć na mnie. Ale wspominałeś mi, że ktoś cię śledzi?

— Tak, gdziekolwiek się udam, czuję, że ktoś idzie za mną i obserwuje z ukrycia — odparł Ranieri z niechęcią w głosie.

— A więc zamiar twój może zostać odkrytym.

— Nie. Plan mój doskonale jest ułożony.

Robert Alimena uśmiechnął się, bo pomyślał o własnym planie, który miał urzeczywisnić za dwa dni.

— Czy ta młoda dziewczyna zdecydowana jest na wszystko? — zapytał po chwili.

Obawia się ciągle, że ucieczka jej może zabójczo wpłynąć na jej ojca, który ją ubóstwia. Jednakże, już teraz przestała się wahać.

— Będziemy więc zmuszeni pożegnać się wkrótce, Ranieri — wyrzekł smutnie Robert. — Czy zamierzacie udać się daleko?

— Bardzo daleko, bo tego wymaga sytuacja obecna — odparł poważnie Lambertini.

— Nie tak daleko znowu! — zabrzmiał nagle koło nich ostry, ironiczny głos.

Robert i Ranieri odwrócili się żywo. Twarz Roberta pobladła lekko, zdawało mu się bowiem, że już gdzieś ten głos słyszał dawniej. Ale nie ujrzeli nic podejrzanego, wokoło nich tłum bawił się dalej, rzucało i odbierało kwiaty, wymieniając coraz to żywsze słowa i uśmiechy. Silny niepokój ogarnął Roberta.

— Szpiegowano nas znowu — odezwał się Ranieri spokojnie, nie tracąc zimnej krwi.

— To jest jednak ciekawa rzecz! — odparł żywo Robert. — Słuchaj, Ranieri, czy ty nie masz kogo w podejrzeniu? Czy sobie nie możesz wyobrazić kto to jest?

— Tak, niekiedy wyobrażałem sobie...

— No, co? co?

— Ale to może tylko halucynacja zmysłów... fantastyczny wi-

zya — szepnął Ranieri, zamysłony głęboko.

— Ale co... mówże... mów...

— Wyobrażam sobie, że rywal mój jest niski, garbaty, i ma zielone, przenikliwe oczy.

— Co ty mówił! — zawołał Robert, zadrżawszy mimowoli.

— Tak, tak — twierdził dalej Ranieri coraz pewniejszym głosem. — Mały garbus o zielonych, brzydkich oczach — powtórzył, nie zdając się spostrzegać wzruszenia przyjaciela.

— Widziałeś go więc?

— To było bardzo krótkie widzenie... ukazał mi się i znikł.

— Wiele razy?

— Trzy razy. Jednego wieczora spotkałem go na ulicy, na której mieszka Rachelę. Przeszedł szybko obok mnie, przenikając mnie spojrzeniem szklanych, niemilych oczu.

— Tak, on ma szklane oczy — wyszeptał Robert jak we śnie.

— Straszne, okropne spojrzenie! Innym razem, jakie to dziwne nieprawdą? Spotkałem go na schodach mojego domu. Rzuciłem się za nim, ale go dopędzić nie mogłem.

— Uciekł — co?

(Ciąg dalszy nastąpi).